



WROCŁAWSKI TEATR
WSPÓŁCZESNY

Nagasaki
na podstawie powieści
Érica Faye

tłumaczenie
Andrzej Bilik
adaptacja, reżyseria
Paweł Kamza

premiera
5 września 2020

fol. Dawid Slube / Wrocławski Teatr Współczesny

◆ Wrocław Nagasaki

■ To opowieść oparta na faktach. W 2008 roku gazety opisały historię Japończyka, w którego mieszkaniu zagrzeździł się dziki lokator. Dzieje pożycia samotnego mężczyzny z zadowolonym, lecz skrzętnie ukrywającym ślady swej obecności intruzem zainteresowały francuskiego pisarza, Érica Faye, który uczynił je kanwą kameralnej powieści *Nagasaki*, uhonorowanej w 2010 roku nagrodą Akademii Francuskiej. Jej adaptację wystawił na deskach Wrocławskiego Teatru Współczesnego Paweł Kamza.

Temat samotności dwojga ludzi żyjących pod jednym dachem zbiegł się z doświadczeniem przymusowej izolacji, której za sprawą pandemii zaznały miliony ludzi na świecie. Ta okoliczność nie jest w spektaklu specjalnie eksponowana, lecz tworzy dlań dodatkowy kontekst: w czasie globalnej kwarantanny historia bohaterów, zatrzaśniętych w czterech ścianach, może wydawać się bliska. Nie jest to jednak studium klaustrofobii ani sentymentalna opowieść o życiowych rozbitkach wyrzuconych na brzeg samotnej wyspy. Sytuacja, w jakiej znalazła się para obcych sobie ludzi, żyjących obok, a jednak dla siebie niewidzialnych, posłużyła

Éricowi Faye za punkt wyjścia do refleksji nad duchowymi konsekwencjami rozpadu więzi społecznych.

Nagasaki to miniaturowy model świata, w którym – mimo formalnych więzi, relacji towarzyskich, a nawet fizycznej bliskości – żyje się osobno. Tak właśnie dzieje się z bohaterami powieści. On jest pracownikiem stacji meteorologicznej. Prowadzi monotony, do bólu przewidywalny tryb życia, bez wstrząsów, wygórowanych potrzeb i pragnień. Kontakty z rodziną i znajomymi ogranicza do mediów społecznościowych. Jego mieszkanie z widokiem na port Nagasaki przypomina kapsułę zawieszoną w wirtualnej nierzeczywistości. Ona jest istotą jeszcze bardziej nieważką – nie ma swojego miejsca na ziemi, bliskich, żyje jak duch, ukrywając się w cudzej szafie. Dowiadujemy się, że w dzieciństwie wiele łączyło ją z tym mieszkaniem, ale przeszłość przestała cokolwiek znaczyć. Całe życie skurczyło się do męczącego „teraz” w klatce czterech ścian.

Éric Faye jest powściągliwy i oszczędny w odmalowywaniu tego dziwnego stanu istnienia w świecie pozoru, pozrywanych więzi i dojmującego

jącej martwoty, w którym nie działają już żadne materialne kotwice, takie jak własny dom. To rzeczywistość niemal beckettowska – pozbawiona ciężaru, zredukowana do rutynowych, prostych gestów, podszyta absurdem.

W przedstawieniu Kamzy rozbuchana, barokowa forma skutecznie zagłusza kameralny dramat bohaterów. Twórcy spektaklu strzelają ze wszystkich armat, jakimi dysponuje teatralna technologia. Kolorowe światła, projekcje, animacje, teatr cieni, emotikony tworzą feerię wizualnych efektów, w których trudno odnaleźć rozrzedzoną atmosferę powieści. Scenografka, Iza Kolka, postawiła na scenie konstrukcję z podświetlanych kubików, pełniącą również funkcję ekranu. Pojawiają się na nim wizualne kompozycje, miksujące za pomocą różnych technik to, co rzeczywiste i wirtualne. Na moment scena staje się nawet czymś w rodzaju estrady, na której bohaterowie dają pokaz karaoke do melodii ze znanych przebojów. Ten przerwany zapewne ma rozruszać widzów mniej odpornych na introwertyczny klimat spektaklu. Troska o atrakcyjność wizualną idzie w parze ze scenograficznym przegadaniem – na ścianie, która bywa również ekranem komputera, wyświetlają się teksty z mediów społecznościowych, „gadają” nawet kostiumy ozdobione napisami, choć ich treść dla widza pozostaje raczej nieczytelna.

Aktorzy muszą jakoś uwiarygodnić tę przestrzeń, co utrudnia sztuczna forma ruchowa, w której nietrudno się domyślić japońskiej stylizacji. Z ograniczeń narzuconych przez estetykę spektaklu udaje im się jednak niekiedy uczynić walor. Oboje tworzą sugestywne portrety uciekinierów z życia, desperacko poszukujących azylu, mimo że twardy grunt już dawno usunął im się spod nóg. Do pewnego momentu to właściwie dwa równoległe monodramy, które krzyżują się tylko w przestrzeni: ona pozostawia ślady swojej obecności na przedmiotach, on mozolnie usiłuje je odczytać.

Rozpisane na mechaniczne, powtarzalne sekwencje rytuały codziennych czynności Meteorologa (w tej roli Tadeusz Ratuszniak) tworzą precyzyjną, zrytmizowaną partyturę. To człowiek wypalony, bez właściwości, w pewnym sensie także bez twarzy, bo niemal przez cały czas przesłania ją daszek czapki. Spod tej szarej, chropawej skorupy wyziera jednak ludzka wrażliwość i lęk, a może przeczucie, że to pedantycznie ułożone życie jest tylko kruchą fasadą, za którą czał się nicość. Śledztwo, jakie prowadzi bohater Ratuszniaka w sprawie ubytków soku owocowego, spożywanego potajemnie przez nieproszoną lokatorkę, metodycznie raportowane przezeń w Internecie, jest właśnie takim teatrzykiem, celebrowanym z uporem, by utrzymać pozory racjonalności i kontroli nad beznadziejnie rozłazącą się egzystencją.

Trudne zadanie ma Zina Kerste, która postać lokatorki musi pozyskiwać z rozmaitych, nie zawsze spójnych strzępów biografii. Jej bohaterka ma za sobą traumy dzieciństwa, bunty, wątplenia, a nawet udział w rewolucji, jednak z tych wyrwanych z kontekstu epizodów trudno złożyć przekonującą całość. Materiał scenariuszowy nie daje sensownego oparcia postaci, toteż aktorka buduje ją z formalnych drobiazgów – z pauz, półtonów, spowolnionych ruchów ciała, nawykłego do życia w przyczajeniu. Tę historię chciałoby się oglądać na zbliżeniach, bez inscenizacyjnych atrap. Kto wie, czy spektakl nie wypadłby lepiej, gdyby aktorzy mogli go zagrać po swojemu – choćby na pustej scenie. ■